

Biografia Kardynała Adama Kozłowieckiego SJ

Adam Kozłowiecki urodził się 1 kwietnia 1911 r. w Hucie Komorowskiej. W 1929 r. wstąpił do zakonu jezuitów, gdzie w 1937 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Aresztowany na początku II wojny światowej był więźniem obozów w Auschwitz i Dachau. Po wojnie Zambia stała się jego drugą ojczyzną z wyboru. Jako jezuita-misjonarz organizował tam szkolnictwo, był administratorem wikariatu apostolskiego Lusaki i pierwszym metropolitą arcybiskupem tego miasta. Uczestniczył w obradach Soboru Watykańskiego II. Po rezygnacji ze stolicy arcybiskupiej powrócił do pracy duszpasterskiej misji w Mpunde. W 1998 roku papież Jan Paweł II obdarzył go godnością kardynalską.

Kardynał Adam Kozłowiecki SJ był najstarszym polskim misjonarzem. Spędził na misjach ponad 61 lat. Przyjął obywatelstwo zambijskie i wniósł wielki wkład w tworzenie struktur tamtejszego Kościoła, walczył z rasizmem oraz popierał dążenia niepodległościowe narodu zambijskiego.

Był wielkim obrońcą praw człowieka. Pomagał rzeszom ubogich, których często ratował od śmierci głodowej. Rozdawał wszystko, co miał, opiekował się chorymi i sam opatrywał rannych. Ludzie, którzy go poznali, pozostawali pod urokiem jego dobroci, prostoty, a także niezwykłego poczucia humoru.

Znany był z prowadzenia rozległej korespondencji - jego gruby notes liczył ponad 1600 adresów, a ilość wysyłanych listów - ponad 1000 rocznie. Mieszkał w buszu. Nie miał pomocnika ani sekretarza, nie miał telefonu, więc wiadomości ze świata czerpał z radia BBC. Do Polski po raz pierwszy przyjechał w 1969 r., później jeszcze kilka razy odwiedzał ojczyznę, m.in. z okazji podróży apostolskich Jana Pawła II. W 1979 r. koncelebrował Mszę św. z Papieżem na terenie obozu Auschwitz-Birkenau, a w 1997 r. w Kaliszu wraz z innymi więźniami z Dachau.

Zmarł 28 września 2007 r. w szpitalu w Lusace, mając 96 lat. Dzień wcześniej jeszcze modlił się za wszystkich, którzy pomagali mu w ostatnim czasie. Uroczysty pogrzeb tego niezwykłego człowieka odbył się 5 października w Lusace.

Za swoją działalność misyjną Kardynał Adam Kozłowiecki SJ został uhonorowany najwyższymi odznaczeniami brytyjskimi, francuskimi i zambijskimi. Prezydent Lech Kaczyński odznaczył go Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi w pracy misyjnej, działalność na rzecz ludzi potrzebujących pomocy i za patriotyczną postawę rozślawiającą imię Polski na świecie”.¹

Fundacja im. Księdza Kardynała Adama Kozłowieckiego „Serce bez granic” w Hucie Komorowskiej

Akt notarialny powołujący do życia Fundację im. Księdza Kardynała Adama Kozłowieckiego „Serce bez granic” został podpisany 26 marca 2008 roku na plebanii w Majdanie Królewskim przez Biskupa Sandomierskiego Andrzeja Dziegę, bp. Edwarda Frankowskiego, ks. dziekana Władysława Włodarczyka, ks. Marka Dzióbę, ks. Marka Flisa, Bogdana Romaniuka oraz Dariusza Bździkota. Podpisujący akt notarialny pomodlili się także w kapicy grobowej rodziny Kozłowieckich. Fundacja im. Księdza Kardynała Adama Kozłowieckiego „Serce bez granic” ma na celu rekonstrukcję pałacu Kozłowieckich z przystosowanie na centrum pamięci o Kardynale oraz utworzenie Diecezjalnego Centrum Misyjnego o charakterze formacyjno- edukacyjnym.

¹ Źródło: Wydawnictwo WAM

http://www.wydawnictwowam.pl/?Page=info&Id=Rok_kardynała_Adama_Kozłowieckiego_SJ

Listy

II wojna światowa

6 listopada 1939 r.

Po południu byłem u mojej babki. Otrzymała list od matki. Donosiła mi, że zaraz po moim wyjeździe wojsko niemieckie (to samo, które widziałem w drodze) zajęło nasz dom. Aresztowano

ks. kanonika Stępnia, wikarego i mego ojca. Zajechało auto i poprosili ojca, by z nimi pojechał do Majdanu. Nie spodziewając się niczego pojechał bez ciepłego ubrania i bez pieniędzy. W Majdanie załadowano wszystkich aresztowanych na samochód ciężarowy i wywieziono w kierunku Kolbuszowej. Matka, dowiedziawszy się o tym, pchnęła natychmiast posłańca z futrem i z pieniędzmi dla ojca do Kolbuszowej. Ojciec narobił jednak Niemcom takiego piekła, że jest stary i chory, aż go wreszcie puścili. Chwała Bogu!

W ostatnich dniach na mieście porozlepiano afisze o przepisach ruchu ulicznego i drogowego. Są tam wezwania do kierowców samochodowych, do dorożkarzy, do przechodniów z odpowiednimi pouczeniami. Do tych wezwań: A ty, kierowco..., a ty, dorożkarzu..., a ty, przechodniu...nieznani sprawcy ponaklejali w czasie nocy kartki z napisami: A ty, kanalio- wracaj do Berlina!

Niektórych te wybryki drażnią i niepokoją. Uważają je za niepotrzebną dziecinadę, która tylko jątrzy i złości naszych okupantów. A mnie się zdaje, że kto w młodości nie umie czy nie chce trochę pobroić dla swej idei, ten w poważnym wieku nie będzie chciał dla tej idei poważnie pracować. Wolę tę formę ruchu oporu, niż potulną kapitulację...

Więzienie w Krakowie

4 stycznia 1940 r.

Dziś mieliśmy oryginalne odwiedziny. Przyszła do nas nieznajoma starsza niewiasta z zakładu Helclów; zamiast nóg miała biedaczka protezy. Gdy przyszła, powiedziano jej, że dzisiaj nie wolno więźniów odwiedzać. Wtedy zaczęła płakać, bo chodzenie dla niej to męka. Strażnicy ulitowali się i zgodzili się sprowadzić nas do niej na dół. Ale ona nie chciała o tym słyszeć, tylko prosiła, by jej pozwolono pójść do nas. Ustąpiono jej usilnym prośbom i tak kobiecina wyszła aż na II piętro. Byliśmy wzruszeni i zawstydzeni. Tak ta prosta osoba czci i szanuje nasze Kapłaństwo, no i nasze cierpienie... A my?... Czy my, dzięki formacji, jaką otrzymaliśmy, zdajemy sobie zawsze sprawę jak wielką, jest godność kapłańska? Czy jesteśmy naprawdę takimi, za jakich nas uważają? Jak chodzi przynajmniej o mnie, było mi bardzo głupio i wstyd...

Pomyślałem sobie przy tej okazji, że prócz naszych odwiedzają nas głównie i prawie wyłącznie te lekceważone często przez księży zakonnice i „dewotki”. W takich ciężkich i trudnych chwilach to one właśnie zdobywają się na ofiarność i odwagę. Przynależę sobie solennie nigdy odtąd nie pokpiwać z nich; zawsze im chętnie posłużę, spłacając dług wdzięczności.

Więzienie w Krakowie 9 stycznia 1940 r.

Znów nastąpiła zmiana strażników. Stwierdziliśmy, że w każdej grupie jest choć jeden taki, co robi ruch, czyli lubi więźniom dokuczyć.

W obecnej grupie jednego takiego nazwaliśmy Fenster (okno), bo jego specjalnością jest otwieranie okien. Przy lada okazji wpada do celi i każe otwierać okna, bo mu cuchnie; a tu na polu mróz siarczysty, bo dawno tak ostrej zimy nie było. Porównują ją do słynnej zimy z 1928 r. Ostatniej nocy Fenster wpadł do nas już chyba po północy, narobił krzyku i kazał na pół godziny otworzyć okna. Ale gdy tylko zamknął drzwi, my też zamknęliśmy okna i spaliśmy dalej spokojnie. Doszło do tego, że wyliczyliśmy sobie, kiedy Fenster będzie miał służbę i gdy tylko wkładał klucz do drzwi, my otwieraliśmy okna. Fenster wpada jak zwykle do celi jak rozjuszony byk i gotów do krzyku, ale widok otwartych okien „zatyka” go i spokojnie wychodzi. My zaś wietrzymy sobie celę wedle naszego uznania, a nie według „fiola” pana Fenстера.

Drugi natomiast strażnik ma do nas wyraźną słabość. Chętnie z nami rozmawia, żartuje, a o. Morawskiego prześladuje za jego powagę. Każe mu się uśmiechać, żąda, by miał dobry humor i pogodny wyraz twarzy. Ale to trud daremny. Im większe wysiłki, by rozśmieszyć o. Morawskiego, tym poważniejszą minę ma nasz Altester. Bo niby z czego tu się cieszyć?

Więzienie w Wiśniczu 14 kwietnia 1940 r.

Wobec ciągłych rewizji, dokonywanych teraz przez Rzepkę, Madera i Masnera wysłałem dzisiaj „bokiem” do Krakowa moje wieczne pióro, portrecik zrobiony mi tu przez prof. Żurawskiego i kawałek połamanego przez Dolpa krzyża, oraz patenę zrobioną tu w ślusarni.

Z chwilą zajęcia Wiśnicza przez Niemców znajdowały się we wszystkich celach krzyże, jak to w Polsce było w zwyczaju. Dolp kazał pozbierać te krzyże i zanieść je na jeden stos do ślusarni. Potem kazał więźniom je porozbierać, to znaczy pasyjki metalowe odłożyć osobno, bo miały być przetopione, a drzewo spalić. Ale ani jeden więzień nie tknął krzyży, choć byli tam ludzie różnych przekonań. Rozwścieczony Dolp sam rzucił się z krzykiem i przekleństwami na krzyże, walił po nich laską, łamał je i deptał. Więźniowie porozbierali potem między siebie kawałki tych krzyżów na pamiątkę. Gdyśmy przyjechali do Wiśnicza, było już mało tych resztek, zdołałem jednak uzyskać jeszcze jeden kawałek, który wysłałem teraz do Krakowa.

Dr Putek dał sobie zrobić w ślusarni bardzo piękny kielich mszalny ze szczątków połamanych krzyży. Stopę kielicha stanowi figurka Ukrzyżowanego z poutrącanymi rękami i nogami. Kielich ten chce dr Putek, jeśli Bóg pozwoli mu wyjść na wolność, ofiarować jako wotum dziękczynne do swego kościoła parafialnego.

Rzepka, Mader i Masner stają się nieznośni. Rzepka początkowo wydawał się całkiem do rzeczy, obecnie rozpił się i stał się bardzo niebezpieczny. Tak samo Masner, blokowy bloku III, gdzie siedzą więźniowie kryminalni, między nimi słynny Krzysztoporski. Tych więźniów traktują okropnie. Cały czas siedzą zamknięci, jedzenie mają jeszcze gorsze niż nasze, a przy tym biją ich i katują. Biją przeważnie pękami ciężkich kluczy i gdzie popadnie, po głowie, po plecach. Szczególnie często biją w krzyże, zdaje się z zamiarem obicia nerek. Kiedyś jeden z nich się powiesił. Za to skatowali nieludzko starszego celi.

Przed kilku dniami doszło do bójki w nocy w celi żydowskiej. Pobił się Schneemann z Tarlińskim. Schneemann to młody, dobrze zbudowany handlarz węgla; miał podobno własny bieda-szyb. Tarliński, przechrzta, profesor z zawodu, jest mały i wąty. Kiedy się bili, krzyki ich i piski napełniały całe więzienie. A rano okazało się, że mały Tarliński ma tylko podrapaną szyję i nos, wielki Schneemann paraduje z rozciętym czołem, pokrwawionym łbem i zdeformowanym nosem...

Wieżenie w Wiśniczu 4 maja 1940 r.

Dzisiaj znowu Standatenfuhrer przyszedł do ogrodu. Tym razem nie sam, ale z panem Sojką. Kiedy odchodził, odwrócił się do Sojki i kazał mu dać nam papierosów. Gdy tylko Sojka wyciągnął pudełko z papierosami, zrobiło mi się dziwnie dobrze i wesoło na duszy i zaświeciły mi oczy. Wtedy pierwszy i jedyny raz ujrzałem życzliwość i dobry uśmiech na twarzy Standatenfuhrera. Roześmiał się i pokazując palcem na mnie powiedział:

- O, wie er lacht!- O, jak on się śmieje!

Boże, czemuż ten Standatenfuhrer i w ogóle ci Niemcy nie są zawsze tacy? Jaka radość ujrzeć coś dobrego, coś ludzkiego u tych dziwnych, złych okrutnych ludzi! Modlę się, żeby ludzie zrozumieli, że prawdziwe szczęście daje dobroć, miłość, życzliwość względem drugich. Czyż Pan Jezus nie powiedział, że lepiej jest dawać, aniżeli brać?...

Obóz Pracy w Oświęcimiu 30 lipca 1940 r.

Jest coraz gorzej, coraz trudniej! Głód! To nasza klęska, to nas trapi dniem i nocą. Od początku lipca nie otrzymujemy ziemniaków. W jadłospisie figuruje pozycja: 250 gramów Salzkartoffeln, tj. ziemniaków obranych i ugotowanych ze solą, albo 750 gramów Pellkartoffeln, ziemniaków z łupinami. Ale to tylko w jadłospisie.

Bicie, poniewieranie, karanie za byle co lub bez powodu stało się zjawiskiem codziennym. Luluś wymyśla stale jakieś nowe szykany na apelach wieczornych, urządza karne ćwiczenia, bije, kopie. Palitsch jest jeszcze gorszy! I ci ludzie uważają, że mają wyższą kulturę! Gardzą nami.

A przecież nie zdarzyło mi się nigdy widzieć w Polsce podobnego traktowania ludzi przez ludzi. Tutaj wszyscy, kapo, oficerowie, dosłownie wszyscy biją i kopią jeszcze człowieka, który już upadł pod ich ciosami. To znęcanie się, ta nienawiść, wyrażająca się biciem, kopaniem; ta dziwna, odrażająca skłonność do bicia ludzi po twarzach – skłonność do zadawania bólu i do upokorzenia! Ta pasja poniżania i znieważania! Ten kult pięknych butów i deptania nimi ludzi. Kryje się w tym wszystkim jakieś swoiste zwyrodnienie i –śmiem twierdzić- coś nie z tego świata- jakieś diabelstwo! Gdybym nie wierzył w istnienie szatana, Niemcy przekonaliby mnie o jego istnieniu. To zło dla zła, ta nienawiść dla nienawiści, ta przemoc pełna okrucieństwa, pogardy, kłamstwa i obłudy. Czyż nie mówi Pismo św. o szatanie, że jest mężobójcą i ojcem kłamstwa? A te dwie cechy, te dwa diabelskie rysy rzucają się najbardziej w oczy, dając się nam tak dotkliwie we znaki...

Więźniowie chodzą coraz wolniej, są osowiali, zgarbieni, jacyś załamani, zwiotczali. Na wyniszczonych ich twarzach uśmiech jest coraz rzadszym gościem. Oczy ich przygasłe, a jednak stale czujne, pełne lęku i niepokoju, obejmują świat spojrzeniem smutnych ludzi i zastraszonych zwierząt...oczy te mają często dziwnie szklany blask: zapowiedź bliskiej śmierci.

A śmierć przestała tu być sensacją. Dla Niemców stała się rzeczą najzwyczajszą, bo to oni właśnie ją zadają i to tak hojnie! Dla nas, którzy tę śmierć przyjmujemy, którzy na nią czekamy, bo może przyjść w każdej chwili, od każdego uderzenia czy kopnięcia, nie

przestała być straszna, jest nadal czymś niecodziennie strasznym. Tępieje się tylko na widok cudzej śmierci. Własna nie jest całkiem obojętna...

Codziennie umiera kilku więźniów. Krematorium już pracuje. Po rannym apelu otwierają się bramy rewiru i przez plac apelowy przesuwa się smutna procesja: niosą trumny do krematorium. Kiedyś przyjechał nowy transport. W chwili, gdy sprawdzano na placu listę przybyłych, przed oczyma ich przesuwała się procesja 12-tu trumien. Otworzono szeroko bramę z napisem: ARBEIT MACHT FREI- i 12 trumien odbyło ostatnią drogę ku wolności...

Jutro uroczystość św. Ignacego Loyoli, naszego Ojca i Założyciela. W tym dniu odczytują nam zwykle dyspozycję, tzn. przydział zajęcia i miejsca pobytu na bieżący rok. Znam moją dyspozycję: obóz w Oświęcimiu. Jeżeli taka jest wola Boża, zgadzam się z nią w duchu posłuszeństwa, łącząc się z posłuszeństwem Jezusa, który dla naszego zabawienia i dla chwały Ojca stał się posłuszny - aż do krzyża...

Obóz Pracy w Oświęcimiu 1 października 1940 r.

Jedną z naszych największych męczarni jest głód. O chlebie i jedzeniu myśli się stale, o nim się mówi, o nim się śni! Stwierdzamy trafność przysłowia: „Głodnemu zawsze chleb na myśli”. Praca wyczerpuje nas do ostateczności, a jedzenia dają tyle, by nie umrzeć zaraz, lecz umierać powoli z utraty sił.

Oczekując śmierci głodowej, pracuje się tymczasem dla Trzeciej Rzeszy. Wszyscy cierpią okropnie z powodu głodu. Większość wygląda już jak chodzące kościotrupy. Br. Żeleźniak

i Krzysiek są całkowicie wycieńczeni, chodzą z błędnym wyrazem oczu. O. Turbak przyznał się mi, że zniża się już do żebraniny, reszta chodzi jak otępieła; widać po nich, że jedna prześladuje ich myśl: skąd tu zdobyć coś do jedzenia?

Zdawało się nam dotychczas, że rozumiemy już ludzi głodnych... Głupstwo!

Kto tego sam nie przeszedł, nie zrozumie tego nigdy!

Przechodziliśmy to przez 5 lat... Smutniejszym było to, że niektórzy z tych, co to przechodzili, potem niestety głodnego nie rozumieli.

Myśl o jedzeniu prześladuje mnie na każdym kroku, w każdej chwili dnia a nawet w nocy. Wstyd mi i staram się to ukryć, ale to trudno.

Często chodzę w chwilach wolnych z Kazikiem Olearczykiem i rozmawiamy

o Polsce

i o polityce. Ale myśl jest gdzie indziej i rozmowa się nie klei ani mnie ani jemu, odczuwam to najwyraźniej. Prześladuje

nas myśl: czy Paweł Dziuban przeniesie nam co dzisiaj?...

Ale jak strasznie cierpimy przy tym moralnie, jakże wstydzimy się naszego spodlenia

i zezwierżenia pod wpływem głodu i cierpienia! Wstyd nam, że każdy jest całkowicie pochłonięty myślą

o sobie i to do tego stopnia, że staje się obojętny na cierpienie współtowarzyszy niedoli!

Doszło nawet do tego, że raz zbudziłem się w nocy z uczuciem strasznego głodu, nie mogłem bardzo długo zasnąć, gdyż prześladowała mnie myśl, żeby ukraść drugim chleb! Myśl ta wracała natrętnie jak mucha. „Tam w szafie są kawałki chleba, które koledzy zostawili sobie na śniadanie... mnie samemu już 3 razy ukradli... raz nawet usprawiedliwiono tę kradzież własnym głodem, podczas gdy ja miałem rzekomo za dużo, kiedy zostawiłem sobie na śniadanie... Może to i racja... Teraz ja jestem głodny, och, jak strasznie głodny! Tamci, co zostawili sobie na śniadanie, widać mają za dużo...”

Jakże wdzięczny byłem potem P. Bogu, że oparłem się pokusie. Sam czułem się wówczas tak słaby!...

Najsilniejszą pobudką powstrzymującą mnie od podobnych czynów było postanowienie, by raczej w obozie umrzeć, aniżeli wyjść z czymś, czego musiałbym się potem wstydić przez całe życie. Zdawałem sobie również sprawę i z tego, że w razie przechwycenia mnie, spadają represje na wszystkich księży.

Nie miałem jednak odtąd odwagi potępić kogokolwiek, gdy skradziono komuś chleb; wiedziałem bowiem, że do tego jestem zdolny i ja...

Obóz Pracy w Dachau 22 stycznia 1940 r.

Dziś po raz pierwszy w dziejach obozu w Dachau złożono Bogu najświętszą i najmiłszą Mu Ofiarę! W tym miejscu nasiąkniętym krwią pomordowanych! W tym przybytku bluźnierstwa, przekleństwa i nienawiści! Trudno mi zapanować nad sobą; z największym wysiłkiem tłumię cisnące się do oczu łzy; czuję, że dzieje się rzecz wielka, której „oni” nie pojmują! Cud Wszechmogącego, tryumf potęgi Bożej nad księciem ciemności i jego sługami! Kaplica w Dachau!...Sami ją zbudowali, wymalowali, urządzili... Niepojęte!

I znowu ks. Prabucki czyta słowa Mszy św. jakby wprost dla nas przeznaczone.

o świętych Męczennikach Wincentym i Anastazym: Niech jęk poddanych dojdzie do Ciebie, Panie! Wielu w kaplicy płacze. Każdy z nas ma na ręce cząsteczkę hostii, którą kapłan odprawiający Mszę św. konsekruje. Klerycy i bracia składają swoje cząsteczki na dłoniach stojących obok nich kapłanów.

Niestety, nie przeżył tego szczęsnego dnia nasz poczciwy staruszek br. Jan Bińkowski, który zmarł dziś w rewirze w wieku 73 lat.

Obóz Pracy w Dachau 5 lipca 1941

Dzisiaj pierwsza rocznica rozstrzelania mojego brata Sławka. Przeżywałem to znowu tak głęboko, że prawie całą noc nie spałem. Stawał mi jak żywy przed oczami wyobraźni ze swoją roztrzepaną grzywą, ze swoimi nerwowymi ruchami, z gestykulującymi zawsze żywo rękami i tymi ciemnymi, ruchliwymi oczami, przez które przebijało złote jego serce... Przewracam się

na łóżku i chce mi się krzyżeć: Gdzie jesteś?! Gdzieś odszedł?! Boże, Boże sprawiedliwy, czemuś do tego dopuścił?!... Nie mogę opanować gwałtownych uczuć żalu, które mnie męczą przez całą prawie noc.

Kiedy mnie wszyscy prawie opuścili, tyś mnie, bracie nie opuścił. Czemu teraz mi ciebie wydarto?! Nie zapomnę nigdy tego jednego poranka. Wtedy także całą noc nie spałem. Była to chwila najcięższej może w życiu decyzji. Zrobił się świt, pierwsze blaski tego dnia, w którym straciłem wiele serc i moje serce odrywało się na zawsze od tego, co było mi drogie, droższe niż ktokolwiek przypuszczał. Stałem przy oknie i było mi bardzo ciężko. Nie było przy mnie wtedy nikogo. Zrobiło się szaro, zaczęły pisać koguty, z daleka dochodziło szczekanie psów. Wschód się zaróżowił. Wtedy nagle drzwi się otworzyły i wszedłeś ty!

Tej nocy także niewiele spałeś i skoro świt Cię zbudził, przyszedłeś, by być przy mnie. Słońce wzeszło. Wyszędłem i ty ze mną. Doszliśmy do bramy, mieliśmy się pożegnać;

lecz nie, powiedziałeś, że odprowadzisz mnie jeszcze kawałeczek. Doszliśmy za pierwsze domy i znowu mieliśmy się pożegnać. Lecz znowu nie, powiedziałeś, że jeszcze kawałeczek... Ruszyliśmy przez łąki w milczeniu. W końcu przystanęliśmy, popatrzyliśmy na siebie i podaliśmy sobie ręce. Nie mieliśmy zwyczaju się ścisnąć i całować. Ot, podaliśmy sobie ręce, ale w tych oczach i w uścisku twej ręki wyczułem wszystko, czego nie zapomniałem nigdy i dziś zapomnieć ani nie mogę, ani nie chcę.

Czemu twe serce przestało bić? Czemu twe oczy już nigdy na mnie nie spojrzą? Czemu twa ręka już nigdy mojej nie uściśnie? Widzę cię teraz znowu przed sobą, ale z krwawą plamą na czole! O, Boże, Boże! Wydarło cię żonie i dzieciom, które ogromnie ukochałeś!...

Obóz Pracy w Dachau 29 kwietnia 1945 r.

Jest niedziela, 29 kwietnia 1945 r., godzina 17.27.

Zza węglów WB od krematorium, od strony baraków osmańskich wysuwają się żołnierze amerykańscy.

Jednym z pierwszych przy bramie był ksiądz Cegiełka. Wyściskał i wycałował pierwszego żołnierza, potem chwycił w objęcia drugiego i wycmoktał z dubeltówki. Ale ten drugi żołnierz miał zbyt długie włosy, które wymykały mu się spod hełmu, i – zbyt czerwone wargi...
Amerykanka

w mundurze, ponoć reporterka.

Więźniowie wiwatują, krzyczą i płaczą z radości. Nagle po murze wspina się na Jourhaus jakiś młody Polak, drapie się coraz wyżej, aż z okna pierwszego piętra wywiesił polski sztandar... Po chwili obok niego ukazały się inne: czeski, francuski, jugosłowiański...

Skończyły się swastyki. Rozbita w puch brutalna przemoc, co nas przez tyle lat gnębiła.

Nad miejscem naszej kaźni łopocą radośnie sztandary wolnych narodów.

Nagle rozlegają się strzały. Z początku jeden, potem drugi, wreszcie cała seria. Spłoszeni więźniowie rzucają się do masowej ucieczki z placu, przypuszczając, że to jacyś ukryci esmani strzelają do rozentuzjasmowanych, pijanych wolnością więźniów. Pozostałem jednak na placu i okazało się, że to Amerykanie rozstrzelali załogę jednej z wież, gdy esmani nie chcieli zejść i podnieść rak do góry.

W jednej chwili potargano pozbawione prądu elektrycznego druty, więźniowie wybiegli na zewnątrz. Przed bramę zaczęły zajeżdżać samochody wojskowe. Najpierw małe, zwinne polowe „łaziki”, potem osobowe.

Od strony komendantury szedł w towarzystwie amerykańskiego żołnierza, zdaje się oficera, jakiś młody oficer esmański. Tłumaczył coś Amerykaninowi i gestem ręki wskazywał na obóz.

Poszedłem wzdłuż drutów z powrotem do królikarni.

Żołnierz amerykański prowadził dwóch jeńców niemieckich; jeden w mundurze lotniczym, drugi z Wehrmachtu. Na ten widok niektórzy więźniowie zaczęli gwizdać. Amerykanin dał jednak znak, aby zaprzestano.

Obok wieży walały się na ziemi i w wodzie trupy wystrzelanych przed chwilą esmanów. Dalej grupa więźniów prowadziła rozbrojonego esmana wśród śmiechów i

gwizdów. Obok niego szedł jakiś młody więzień z karabinem w ręku; w pewnej chwili klepnął esmana pogardliwie po głowie. Doznałem uczucia niesmaku...

Grupa Rusków rzuciła się na wieże do rozbrojenia, poddających się i nie stanowiących oporu esmanów. Opowiadał mi Nowicki, który obserwował te sceny, że bito, kopano i szarpano stojących z podniesionymi rękami esmanów.

Nie! Stanowczo jestem przeciwny takiemu traktowaniu. Z radością stwierdzam, że takie uczucia dzielają prawie wszyscy Polacy.

Kto zarzucał nam, że jesteśmy zbyt czuli i łatwo zapominamy o tym, czego nasz naród od tych zbirów doznał. Ale ja sądzę, że bicie i szarpanie bezbronnego, choćby to był bandyta, nie jest żadnym objawem męskości. To właśnie potępialiśmy u esmanów. Jeżeli nazywaliśmy ich dlatego chamami i świniami- i słusznie- czy teraz będziemy te same świństwa popełniać?

Żądamy sprawiedliwości a nie bestialskiej zemsty.

Polacy z oburzeniem krzyczeli na rozbestwionych Rusków, że to są teraz przecież jeńcy, którym należy się opieka Prawa Międzynarodowego. Rusy jednak wystrzelali co do jednego załogę jednej z wież, załogę zaś drugiej po zbiciu i skopaniu wydali w ręce Amerykanów.

O ile pierwsza chwila wolności była jedną z najpiękniejszych w życiu, to następne zostały zatrute przykrymi wspomnieniami okrutnej zemsty [...].

Misje w Zambii

Kasisi

18 grudnia 1947 r.

Tak marzyłem o...(Chyrowie)- pamiętam, że krótko przed wybuchem wojny powiedziałem ojcu Włodzimierzowi Konopce, że nie mógłbym nigdy pracować poza Polską- a tu tak Bóg pokierował... Podeptane wszystko, co było mi drogim. Usta mówią: „Pan dał, Pan zabrał”- „Niech imię Pańskie będzie błogosławione”, ale serce wierzga. Jak to dobrze, że nie mam czasu tutaj dużo myśleć!

Lusaka

12 stycznia 1952 r.

Serdecznie dziękuję ci za list z 10 grudnia. Mam nadzieję, że dobiłeś już do Ameryki. Przepraszam za zwłokę w odpowiedzi, ale nie mogłem zdobyć wolnej chwili. Czuję się pod psem. Wkrótce po moim wyjeździe musiałem się położyć i najgorsze to, że nie miałem nawet możliwości odchorować, tyle było roboty. Leżałem naprzód przez tydzień, ale musiałem wstać nie przyszedłszy do siebie, wskutek tego po Bożym Narodzeniu znowu się położyłem na tydzień i znowu musiałem wstać, ale czuję się fatalnie. Mam wrażenie, że mam jakieś świństwo w tchawicy, co mnie w nocy tak boli, że nie mogę spać. Obecnie bóle ustąpiły od 3 dni, ale czuję się kiepsko. We wtorek 15 wyjeżdżam do Tabori, przeleczę szybko misje we Wschodniej Afryce i pojedę na miesięczny odpoczynek w Kongo. Pan Rapetti naszkicował mi wspaniały plan seminarium w Mpimie. Zaczniemy budować według jakiegoś planu, a jak plan zostanie wykończony (może za jakie 15 lat...) będzie to coś wartego pokazania. Tego roku muszę wpakować coś w wodę, sypialnie i znaleźć jakieś pomieszczenie na kaplicę. Potrzeba mi na to około 2000 funtów. Mamy już zapewniony płot

(działkę) na kaplicę i dwa domki (dla księży i dla siostr) w Mkushi. Musi się też coś zrobić z Mpimą. Bo to skandal, by mieć blisko 2000 akrów 7 mil od miasta i nie mieć nic z tej farmy! Podobno tego roku zaorali około 5 akrów!!!...

Zaraz po powrocie z odpoczynku chcę bardzo gruntownie przestudiować rachunki nadesłane z każdej stacji, by wreszcie się zdecydować na ustalenie normalnych kosztów utrzymania misjonarzy, kosztów pracy misyjnej itp. Bez tego nigdy nie wyjdziemy z bagna spowodowanego

nieporozumieniami

na punkcie mamony, ponieważ tyle rzeczy pozostawiono w mętnej wodzie. Przeglądałem już rachunki chikuńskie i znajduję tam niewiarygodne figury.

Miałem ostatnio bardzo dużo kłopotów zwłaszcza na punkcie pieniężnym i ogromnie mnie to nawet fizycznie wyczerpało. Byłem już prawie zdecydowany, że sprzedam łorę, by zdobyć pieniądze na pokrycie najważniejszych wydatków, zwłaszcza że ze wszystkich stron denerwują się, jeżeli lora nie jest natychmiast do dyspozycji, a płacić na pokrycie kosztów jej utrzymania nikt nie chce. Ale skoro tylko dowiedzieli się, że chcę sprzedać łorę, wszyscy się sprzeciwiali „bo ona taka pożyteczna”. O tym wiem, ale dla mojej kasy jest to tylko strata, bo ciągle do niej dokładam na benzynę, naprawy, kierowcę itd. W listopadzie zepsuła się w drodze powrotnej z Katondwe. Musiałem wysłać mechanika i za samo wysłanie go na jeden dzień policzono mi 15 funtów...

21 kwietnia 1980 r.

Chingombe

Ja na prima aprilis skończyłem 69 lat- wszedłem w siedemdziesiątkę-grabarze patrzą na mnie z pewną dozą wyrzutu w oczach.

Bąłem się, że nie zdążę podziękować za wszystkie listy przed wyjazdem do

Rzymu,

ale

z nieba spadł mi nagle list z zawiadomieniem, że zebrania Papieskich Dzieł Misyjnych zaczną się o tydzień później. Zdaje mi się, że powodem jest wyjazd Ojca św. do Afryki na 10 dni, od 2 do 12 maja. Ktoś mi z Polski już pisał, że będzie pewnie też i w Zambii. Niestety nie. To tak, jak ktoś, dowiedziawszy się, że Ojciec św. jedzie do Irlandii, powiedziałby, że pewnie i o Polskę znowu zawadzi, a będąc już w Polsce, to i Sanoka chyba nie opuści.

Wizytował nas ks. arcybiskup Millingo. Wręczył mi list podpisany przez siebie i dwóch kurialnych. Dziękuję mi za wielką pomoc materialną, jakiej udzielał archidiecezji, ale przede wszystkim misji w Chingombe. Zaznacza jednak, że jakby mnie tu brakło, archidiecezja nie będzie w stanie misji utrzymać. Dostałem zatem różę z mocnym kolcem, no ale podobno jeszcze nie wyhodowano róż bez kolców. Powiedziałem mu, że pomoc przychodzi nie ode mnie, tylko od przyjaciół naszej misji i że używamy jej przede wszystkim, by zapewnić misji możliwość utrzymania się bez pomocy z zewnątrz. Jestem przekonany, że jest to możliwe, ponieważ w zeszłym roku, nawet nie mając żadnego brata, ks. Prawica miał piękny zbiór ryżu, który miejscowa ludność zakupiła, co nas uwolniło od transportu kukurydzianki (przynajmniej częściowo), poza tym za fasolę, którą wykupiła szkoła średnia w Mulunushi, dostał prawie 1000 Kwacha...

Za największą jednak inwestycję uważam wkład naszej pracy wśród ludzi, pracy tak duszpasterskiej, jak i społecznej i charytatywnej. Obecnie pomagamy tym ludziom, bo naprawdę są biedni. Mówi się czasem, że są biedni, bo są leniwi. Coś w tym jest, ale nieraz lenistwo jest wynikiem biedy. Biednym pomagamy, a lenistwo staramy się „wyperswadować” (co nie jest takie łatwe), a czasem i tępimy. Jestem przekonany, że przyjdzie czas, że ludzie sami utrzymają misję

w razie jakiego kryzysu- i zrobią to samorzutnie.